Rozmaitości

Dnia 13. Listopada N^er. 46. Roku 1841.

GREUZE.

(Z francuzkiego *Revue de Paris.*)

1.

Pomiędzy malarzami i kompozytorami muzyki znajdziesz więcej prawdziwych poetów, niż między wierszo-pisami, którzy sobie do poezyi prawo roszczą. Greuze malarz jest poetą, czułym i myślącym poetą; jest on w dziejach francuzkiego umnictwa, całkiem nowem zjawiskiem; jego pęzel bierze życie familijne, życie umysłowe, z tak serdeczną wiernością, na jaką piérwéj tylko malarze niemieccy zdobyć się mogli. Onto był najpiérwszy, który wprowadził żywioł romantyczny w zakres sztuki malarskiéj. Rysunek i to, co zwykle stylem nazywamy, nie wiodło się mu z początku, ale władnął on w tomiast doskonale kolorytem i umiał nadewszystko z głęboko-zdrojnego uczucia swego, najtkliwsze uzmysłowić pomysły, które utworom jego, rodzimego, charakterystycznego wdzięku nadały.

Familija Greuzego pochodzi z Boussy nad Saoną. Ojciec jego był budowniczym w Cournus, okolicy tegoż nazwiska. Jan Baptysta Greuze urodził się tamże w miesiącu sierpniu 1735 roku. Skoro zdołał w ręku pióro utrzymać, już gryzmolił na zeszycie do pisania wizerunek swego nauczyciela lub malował rozmaite fantastyczne postacie po ścianach swéj izdebki. Ojciec zamierzywszy wykształcić go na budownika, kazał mu rysować okna, słupy, świątynie. Greuze uczynił zadość temu rozkazowi, ale zawsze jakąś postać, bądź matki, siostry, bądź kuzynki dodał w przyczynek; nakoniec zakazano mu to bardzo surowo. Greuze miał podówczas lat ośm. Nie przestawał on przecież pokryjomu doskonalić swojego talentu, chociaż go ojciec za każdą razą porządnie wyłajał, gdy go na uczynku przydybał. Nareszcie chłopiec uniesiony szlachetnym gniewem, zamyślił pomścić się swoim sposobem.

W dzień św. Jakóba, jako w rocznicę imienin ojca, wystąpił młody Greuze raniuteńko, trzymając w jednéj ręce duży bukiet, a w drugiéj wizerunek świętego Patrona. Ojciec ściska, caluje chłopca, wącha świéże kwiaty i przypatruje się obrazkowi. — »Z kądże masz tę rycinę?« — »Przebacz ojcze—ja znowu wykroczyłem przeciw zakazowi twojemu!« — »Nie zwiedziesz mnie chłopcze, wszakżem nie ślepy, toćto kopersztych!« Przypatrzywszy się dokładniéj, postrzegł nareszcie ojciec, że to był obrazek piórem kreślony. Podziwił wprawdzie delikatny, misterny rysunek, jednakże był nieprzełamany w swym zamyśle. »Tą razą przebaczam ci, ale niech to będzie po raz ostatni.« — »Daremnie mój ojcze, ja się nie zbędę ochoty do malarstwa«, rzekł chłopiec rozżalony, i skrywszy się do izdebki, znowu rysował.

Tak trwała nieustanna walka między ojcem a synem. Szczęściem że matka każdą razą rozbrajała łagodnością gniew ojca, a pocieszała syna nadzieją lepszéj przyszłości.

Greuze miał upodobanie w scenach sielskich: lubił zieleniejące się wiszary, samotne po niwach manowce, harmonijną ciszę dąbrowy, miłe, niewinne obrazy wiejskiego życia. Dumał i rysował nad brzegami

Saony w obec majtków i żniwiarzy, zwidzał kiermasze w sąsiedzkich włościach, i tańczył na włościańskich weselach. Tym sposobem odbijały się w duszy jego rozliczne, zajmujące obrazy, które on będąc Francyją, Angliją i Rossyją przedzielony, aż z dalekich Chin w swój umysł przenosił.

Greuze miał lat trzynaście: walka z ojcem trwała bez ustanku. Pewien lichy malarz, nazwiskiem Grondom, przejeżdzając przez Cournus, wstąpił jednego razu ze zbiorem obrazów do pomieszkania budowniczego Greuze. — »Czy nie kupisz sobie u mnie malowideł panie Greuze? Mam wszelkiego rodzaju i po różnéj cenie.« — »Co? malowideł! A mnie ich na co?« odrzekł ojciec Greuze — »jeżeli potrzebujesz malarza? Dam ci go bezpłatnie.« To usłyszał młodzian i spłonął od gniewu.

Po skończonym obiedzie był Grondom świadkiem godnéj pezla sceny między ojcem a synem. Młody Greuze wstawszy najpiérwszy od stołu, nakréślił węglem na podłodze rozegrzaną od wina twarz ojca i Grondoma. Ojciec chciał artystę za ucho schwycić, lecz Grondom uśmierzył gniéw jego, oświadczając, że chętnie nieposłusznego chłopca w swéj fabryce umieści. Jakoż Grondom miał istotnie fabrykę obrazów; pod dozorem jego pracowało kilkunastu młodych bazgraczy, którzy każdego tygodnia jeden obraz ukończyli. Młody Greuze na przekorę swoim spółuczniom, każdego dnia jeden ukończył. Tak nadzwyczajna praca byłaby wycieńczyła talent powszedni; ale dla jego uzdolnionéj, wprawnéj ręki, było to tylko igraszką. Jego płodna fantazyja, wzbijała się do dzieł ważniejszych. Wszelako do téj zmiany dopiéro miłość miała mu być pobudką. Niebaczny, zakochał się w żonie swego nauczyciela! Pani Grondom była piękna i miała czułe serce: przebaczmy jéj, przebaczmy obojgu! Niebawem nam Greuze sam rozkosze swojéj piérwszéj miłości opisze.

Greuze mając lat dwadzieścia, zasłynął obrazem z rzeczywistego życia. Będąc raz na przechadzce, widział sędziwego dzierzawcę, który siedząc w pośrodku swéj familii odczytywał Pismo święte. Ta patryjarchalna scena utkwiła mocno w jego umyśle: odmalował ją z pamięci, bez modelu i przewodnika. Nauczyciel jego zdumiał się na widok tego obrazu, »Ty musisz iść w świat«, rzekł do młodego Greuze, »ty będziesz wielkim malarzem, a tu się niczego nie nauczysz.« Dodać nam wprawdzie należy, że pan Grondom był cokolwiek zazdrośny o swoję żonę.

Greuze nie mając ani grosza w kieszeni, udał się do Paryża; po drodze żył z malowania portretów. Paryż dla każdego z daleka rajem się być wydaje; dla młodego Greuze stał się on wkrótce pełną wrzawy pustynią. Nie mając ani grosza na zapłacenie czynszu, stanął gospodą w lichym hotelu przy ulicy Richelieu.

Nie należał on do żadnéj szkoły, nié miał żadnego mistrza, malował zupełnie tak, jak go własny instynkt prowadził i z tąd to idzie, że jest oryginalny. Malarze idący za modą, szydzili z początku z dumnego młodzieńca, który ani o szkole ani o mistrzu wiedzieć nie chciał; ale nie zadługo powziął świat o młodym Greuzie inne zdanie i z uwielbieniem podziwiał jego urocze postacie!

2.

Skoro Greuze uzbiérał cokolwiek pieniędzy, już go powabiały italskie okolice. Byłato podróż podobna do podróży Gretrego. Greuze nie bardzo dbał o to szczęście poznania wielkich artystów; nie miał on czasu na zgłębianie jenijuszu Rafała; podziwiał wprawdzie urocze madonny jego, ale jeszcze bardziéj pewną młodą Rzymiankę, która była arcydziełem boskiego utworu. Z polecających listów, które z sobą do Włoch przywiózł, przynajmniéj jeden był mu w jakiś pożytek; nie wskazał on mu wprawdzie drogi do sławy, ale sprawił, że go miłość niespodzianie różami uwieńczyła. Po ucztach, co mu Fragonard i inni akademiczni przyjaciele na przywitanie wyprawili, udał się Greuze bez zwłoki do pałacu del Or... Książę przyjął go bardzo łaskawie jako wielki magnat, który wielki talent od razu zgaduje. Greuze przybył w sam czas, bo książę miał córkę, która dniem i nocą o niczém jak tylko o sztuce malarskiéj marzyła.

Greuze ujrzawszy po raz piérwszy Letycyję, zapytał sam siebie, azali mu lekcyi od niéj brać nie przyjdzie! Lecz była ona

dla obojga korzystną. Na drugi dzień odbyła się druga lekcyja. — Jenijusz z serca się rodzi, pomyślił sobie Greuze, i nigdy nic prawdziwszego nie pomyślił. Kochał Letycyję tak czystém sercem, jak się tylko anioła kocha: gdyż Letycyja z urokiem piękności ziemskiéj, połączała dobroć niebiańską! Greuze nie kochał sam jeden. Serc dwoje, tak mistrza jak i ucznia, rozwinęło się ni dwie wiośniane róże od jednego promienia słońca. Nie byłato jeszcze istotna miłość, ale owa słodka przychylność, owe niewymowne uczucie, które jak wonne kadzidło lekko do tronu bóstwa się wznosi. Miłością Letycyi czuł się Greuze niewysłownie uszczęśliwionym. Ale szczęście jego, podobnie jak wszelkie szczęście na téj ziemi, prędko wionęło! Spojrzenie, uśmiech, łza — otóż wszystko, co po szczęściu zostaje!

Greuze wszedł w siebie i spostrzegł, że ta miłość jest tylko pieszczotną złudą, słodkiém omamieniem, i że w żadnę rzeczywistość wykwitnąć nie może; dla tego osądził, iż sobie najroztropniéj zaradzi, gdy dla ukrycia swego smutku i łez swoich przed wzrokiem Letycyi, pałac księcia del Orr... odwidzać przestanie. W téj ciężkiéj potrzebie serca zwierzył się przyjacielowi Fragonard, który go nadroczywszy i wyśmiawszy, zakochanym Cherubem nazwał. Greuze uchylił się od świata i oddał się samocie; atoli obraz Letycyi ścigał go wszędzie i otaczał czarodziejskim urokiem! Czyto wziąwszy palet i pędzel do ręki, zaczął jaki pomysł ucieleśniać, już obraz Letycyi pojawił się mu na płótnie! Czyto samotnie i zadumano przechadzał się po niwach i gajach, już na skrzydłach przypomnień spieszyła za nim piękna księżniczka! Gdy go czasami w pobliże pałacu błędne kroki zawiodły, zawsze widział z daleka stojącą w oknie, smutną postać swéj kochanki!

Razu jednego gdy w kościele św. Piotra zajmował się szkicowaniem głowy madonny, może dla zgaszenia w sercu ulubionego oblicza Letycyi; wszedł do kościoła książę del Or... i rzekł do niego:

»Cóżto się ma znaczyć przyjacielu Greuze, żeś u nas bywać przestał? Galeryja moich obrazów stoi pustką, córka moja zaniedbała pędzel i palet, od czasu jak ją mistrz Greuze opuścił. Bądźże nam grzeczniejszy. W czasie twéj niebytności zbogaciłem galeryję moję dwiema głowami rzadkiego pędzla Tycyjana; mój stary wuj, życzy sobie mieć je, ręką Letycyi przekopijowane. Przyjdźże niezawodnie i bądź jéj doradzcą!«

Nazajutrz wrócił Greuze do pałacu księcia del Or..., drżący i blady na samo wspomnienie, że tam ujrzy przedmiot serca swego; jednakże omylił się w swojéj pewności. Od dnia przeszłego leżała piękna Letycyja chora w swoim pokoju, chora, że swego nauczyciela nie widziała! Greuze zajął się sam kopijowaniem Tycyjana. Drugiego dnia, gdy Greuze przed utworem wielkiego mistrza stał w zadumaniu, zbliżyła się do niego służebna Letycyi z miną tajemniczą.

»Pójdź pan za mną«, rzekła do niego. Greuze jak gdyby jéj nie zrozumiał, wlepił oczy w dziewczynę. — »Pójdź pan za mną«, rzekła powtórnie.

Greuze jak dziécię usłuchał rozkazu. Dostał się do pokoju, który osłoną kitajkowych firanek cokolwiek był zacieniony. Na piérwsze spojrzenie spostrzegł Letycyję z pochyloną na piersi głową siedzącą w krześle. Chociaż jéj lice było smutne i blade, jednakże roztliło się nagle rumieńcem, gdy Greuze wszedł do pokoju. W milczeniu podała mu rękę, Greuze padł jéj do nóg, i ucałował z uszanowaniem najpiękniejszą w świecie rączkę. Radośna miłość spromieniła twarz księżniczki; podniosła zwolna główkę i najtkliwszym wzrokiem spojrzała na klęczącego Greuze.

»Panie Greuze«, rzekła do niego, »ja kocham — kocham — ciebie! Nie sądź, że to mówię w marzeniu; ja kocham rzeczywiście, ale — —« to rzekłszy, spuściła oczy i zdawała się oczekiwać odpowiedzi malarza. Greuze tém słodkiém wyznaniem w nieba uniesiony, nie mógł słów znaleźć i powtórnie ucałował jéj rękę. — »Mówię szczérą prawdę, na cóż mam to przed tobą taić panie Greuze! Ja cię kocham, lecz!...« Greuze zatopiony w niewysłowionéj radości, milczał jeszcze. Letycyja wzięła za złe to milczenie; uchyliła swą rękę, a gdy odwróciła twarz swoje, łzy rzęsiste rzuciły się z jéj oczu!

Greuze milczał, poczém ocknąwszy się z swego zachwycenia, rzekł zalawszy się podobnież łzami, »o Letycyjo, pytasz, czy ciebie kocham! Ja od zmysłów odchodzę, ja cię ubóstwiam od czasu jak cię ujrzałem!« — »Ty mnie kochasz«, wykrzyknęła księżniczka i nie posiadając się z radości, rzuciła się w jego objęcie. Podczas téj niebiańskiéj chwili, oboje stali się jedném sercem, jedném czuciem, jedném westchnieniem! Greuze był piérwszy, który spłoszył ten urok najsłodszego zachwycenia. »Ach, co my téż czynimy!« rzekł smutno, »nie jesteśmyż prawdziwémi dziecmi; rozważ Letycyjo: kochasz mnie! a jesteś córką księcia del Or... Ja się ważam kochać nawzajem, a jestem biédny malarz, bez imienia i majątku. Ach, to jest okropne omamienie, miłość czyni sobie ze mnie okropną igraszkę!« — — »Najmilszy, nie wiész sam, co mówisz«, odrzekła Letycyja, jeszcze ciągle talismanem miłości urzeczona; — »ja kocham ciebie i będę twoją małżonką: oto masz wszystko w dwóch słowach.« — »Co mówisz aniele! A twójże ojciec—!« — »Ojciec mój! — a prawda, wiém o tém, on dla mnie ma już męża, starego, brzydkiego męża, nasuwa mi niejakiego pana Casa... a jeżliby ten się mi nie podobał, jest jeszcze drugi, lekkomyślny hrabia Palleri, któregom jeszcze i razu nie widziała; ale to mię nie zastrasza, jestem Bogu dzięki puścizną mojéj matki bogata, i oddam majątek, serce, życie i wszystko co tylko mam, za jedno twoje spojrzenie! O ty niedobry człowieku, czemuż mię trapisz zarzutami; wypogodź czoło, raduj się ze mną; pojedziemy do Francyi; tam najskromniejsze poddasze będzie dla nas pałacem. Greuze zostanie Tycyjanem, a ja chlubić się będę, żem jego małżonką. Będę zawsze i zawsze przy nim, aby jego spracowany umysł wypoczął na méj piersi, będę nieustannie przy nim, aby go kochać nieustannie, aby w jego sercu panować nieustannie! Ale cóż ci to jest, wszakże ty nic nie mówisz? Czemuż stoisz tak posępny i zamyślony, gdy się przy tobie i nad tobą niebo uśmiécha?«

Greuze uniesiony rozkoszą miłości, budował z Letycyją najspanialsze, najpiękniejsze zamki w powietrzu; jednakże przyszedłszy do opamiętania, zawołał: »Ach! Letycyjo, czemuż nie jestem książęciem, abym ciebie był godzien!« — »Jakżeś dziecinny«, odrzekła Letycyja, »pocóż tobie tych szumnych znamion? Ale, jeżeli już koniecznie żądasz wielkich tytułów, więc ja cię niémi obdarzę.« To rzekłszy nachyliła się do swojego kochanka i odgarnąwszy bielutką rączką jego blond włosy, ucałowała go w czoło z taką czułością, iż gdyby Greuze był nawet z głazu, uczułby strumień życia! »No jakże«, zapytała z miłym uśmiéchem, »ażaliż ten tytuł nie jest tyle godzien, co każdy inny?« — Byłto najsłodszy pocałunek, jaki Greuze w życiu swojém otrzymał; byłto zachwyt, byłoto upojenie się najczystszą rozkoszą, najtkliwsze uczucie, jakiém tylko śmiertelnika samo niebo przeniknąć może! — Nakoniec przyszła chwila rozstanku. Oczarowany, radością upojony, najszczęśliwszy z ludzi oddalił się Greuze z tém przyrzeczeniem, że nazajutrz znowu przyjdzie. »Jutro«, rzekła Letycyja, »jutro, już mi sam z tego domu nie odejdziesz.«

Gdy się Greuze z pałacu oddalał, zdawało się mu, iż opuszcza przybytek rajskich rozkoszy. Skoro wszedł na ulicę, zachwyt i upojenie uleciały. Rozum uspokoił wzburzone uczucia. »Jako«, rzekł sam do siebie, »jażbym miał tak zacnemu, tak szlachetnemu księciu del Or... sprawić to zmartwienie? Nie, przenigdy! Letycyja jest zaślepione dziécię, moją powinnością otworzyć jéj oczy.«

Na drugi dzień z-rana, gdy ujrzał Letycyję, był blady i pomiészany; nie mało wylał łez, nim nad sobą odniósł zwycięztwo. »Jako? Tyś smutny«, zapytała Letycyja, przytuliwszy go do swojéj piersi; »chceszże mnie trwogi nabawić?« — »Tak Letycyjo, jestem smutny, bo cię nad życie kocham i ubóstwiam, a przecież zrzékam się ciebie, zrzekam mówię, chociażbyś moją najświętszą rozkoszą, moją największą chlubą, moją gwiazdą uszczęśliwienia być mogła!« — »Co mówisz? Okrutny, takżeto igrasz z miłością moją; wczoraj byłeś tak dobry!« — »Wczoraj byłem szalony, wczoraj tylko mego serca słuchałem, dzisiaj...« — »Co słyszę!« rzekła Letycyja prawie z gniewem, »więc mnie nie kochasz? Łudziłeś mnie jedynie dla tego, abyś memu sercu krwawą boleść sprawił? O, to haniebnie! — Idź, idź«, rzekła z płaczem rzuciwszy się na krzesło, »zraniłeś mnie śmiertelnie, jestto rana zbyt bolesna, lecz ją sama cierpiéć będę, już cię więcéj widziéć nie chcę.«

To rzekłszy, wskazała drżącą ręką na drzwi, któremi wszedł. Greuze podobnie jak dniem wprzódy nie zdołał się oprzéć tak przemożnéj władzy miłości; rzuciwszy się do nóg, zcałował łzy z ócz pięknéj Włoszki, przysięgając najświęciéj, że odtąd jak niewolnik posłusznym jéj będzie. — »A więc«, rzekła uradowana, »nie traćmy czasu, uciekajmy, uciekajmy w téjże chwili.« Greuze osłupiał. — »Lucyja nam towarzyszyć będzie. Ojciec mój bawi teraz u hrabiego Pallery o dwie mile od Rzymu. Nim z tamtąd powróci, już będziem niemało mil oddaleni; pójdź, przebieżem przez ogród; przy fórtce czeka nas powóz, bom ja o wszystkiém pamiętała i nie

chwiałam się tobie podobnie; wiédz o tém, że ja umię być odważną.«

To mówiąc wiodła go przemocą ku drzwiom. »Tylko śmiało mój kochanku, jesteśmy pod opieka miłości, ona nas nie opuści«; to rzekłszy obejrzała się i nagle zbladła. Greuze spostrzegł, że się w kroku zachwiała. »Letycyjo, cóżci to?« zapytał wziąwszy ją za rękę. — »Widzisz tam«, odrzekła blednięjąc coraz bardziéj, »widzisz!« To rzekłszy wlepiła osłupiały wzrok w wizerunek ojca, który na środku ściany w pokoju wisiał. Byłto obraz pędzla jéj kochanka. Jak we wszystkich twarzach pędzla tego artysty, również i w téj panowała miła łagodność, przemawiało tak słodkie uczucie, iż na ten obraz nie można było spojrzéć bez wzruszenia. Oprócz tego, szlachetna twarz starca miała w sobie tak coś żałośnego, że na jéj widok jakiś smutek mimowolnie serce ogarniał. Zdawało się, jak gdyby książę boleśnie wymawiał córce, że go tak zdradziecko opuszcza! Łagodny wzrok, którym każdego dnia na swą córkę poglądał, ten wzrok, który ją błogosławił, gdy się spać kładła, witał, gdy się ze snu ocknęła, przybrał nagle jakiś wyraz przenikający, którego piérwéj nie spostrzegła.—»Ach ojcze, przebacz!« to rzekłszy, twarz sobie zakryła. W jéj mocno bijacém sercu walczył ojciec z kochankiem. Greuze stał zmartwiały i nie śmiał słowa przemówić. »Cóżto się znaczy?« rzekła, »nie mogę ani nogą z miejsca postąpić, wyprowadź mnie z tąd.« — »Ja podobnież stoję jak skamieniały! Letycyjo— to nasze uczucie jest aniołem przestrogi! Nie idźmy daléj! Pozwól, niech cię raz jeszcze w obec twego ojca ucałuję, a potém pożegnam na zawsze!« Letycyja nic nie rzekła.

»Gdy nam trzeba koniecznie przynieść ofiarę, przynieśmyż ją twemu szlachetnemu ojcu, i pamiętajmy, że miłość jestto piękny kwiatek, ale tylko w swoim poranku; ten miły ranek zeszedł dla nas, nie idźmyż daléj!«

Na te słowa rzuciły się Letycyi łzy rzęsiste z oczu; po chwili podała mu rękę i rzekła przytłumionym głosem: »Dziękuję ci!« Greuze oddalił się z tém mocném postanowieniem nie wrócić już więcéj do pałacu. Łucyja odprowadzając go, rzekła mu na dziedzińcu: »Do zobaczenia mości Greuze, pan jesteś dziwnym kochankiem!« —»Ta dziéwczyna podobno słusznie mówi«, rzekł sam do siebie wyszedłszy na ulicę.

W pięć tygodni późniéj zwidził książę del Or... pracownię malarza Greuze.—»Kochany Greuze, moja córka żąda koniecznie mieć swój portret malowany twoją ręką. Czy nie mógłbyś nas jutro odwidzić?«—»Przyjdę«, odrzekł Greuze. Na drugi dzień z-rana zastał biédny malarz w pałacu księcia del Or... hrabiego Palleri siedzącego obok Letycyi na sofie. Letycyja na widok malarza zaczerwieniła się i westchnęła. »Córka moja poszła za mąż; czy już ci o tém powiadałem?« zapytał książę prowadząc malarza Greuze. Artysta skłonił się nie odpowiedziawszy ani słowa.

W czasie gdy Greuze malował wizerunek, pozostała Letycyja po dwakroć z nim sam na sam. Piérwszą razą otrzymał od niéj pukiel włosów w upominku, po drugi raz, prosił na wieczne rozstanie się, o pocałunek; ale tylko łzę otrzymał.

Gdy obraz był skończony, wziął go Greuze do swéj pracowni dla wykończenia draperyi, jak mówił. Jednakże nazajutrz skoro świt opuścił Rzym wziąwszy z sobą to arcydzieło miłości i kunsztu.

Za powrotem do Francyi zabrał się do odmalowania drugiego, temuż podobnego portretu. Letycyja nie zgasiła w jego sercu obrazu Eleonory. Byłato zacna małżonka Grondoma; Greuze miał przed oczyma swémi nieustannie te miłe rysy, które w swym dwudziestym roku uwielbiał. Odmalował Eleonorę z pamięci; jeden wizerunek był tak wierny jak i drugi. W lat kilka późniéj, gdy obadwa te portrety wielki książę i wielka księżna rossyjska oglądali, dawali mu za nie ci dostojni podróżni 20,000 liwrów. — »Ani za wszystkie skarby świata nie oddam tych obrazów«, odrzekł blady artysta.

Greuze nie mógł się wstrzymać aby w swoich utworach nie powtarzał rysów swoich kochanek. Dziéwczyna w obrazie: *Wieniec mirtowy*, jest Letycyja; stoi ona, jedną ręką o krawędź ołtarza poświęconego miłości oparta, u nóg jéj pod różanym krzakiem całują się gołąbki; w drugiéj ręce trzyma wieniec z mirtów i róż, i zdaje się, że sama nie wié, czy go ma darować, lub zatrzymać.

W ośm lat po swém przybyciu do Francyi otrzymał Greuze list od Letycyi, którego ułamek zawiérał następujące wyrazy: »Kochany Greuze, dawna twoja uczennica jest dobrą teraz gospodynią; mam pięcioro lubych dzieci, które są słodyczą i rozkoszą życia mego! Najstarsza z moich córek, byłaby godną być wzorem dla jenijalnego pędzla twego. Jest jak anioł piękna, zapytaj księcia Esterhazego, a przyświadczy. Jestem bardzo szczęśliwa w mém pożyciu: mąż mój kocha mnie zawsze jeszcze z taka czułością, iżbym sobie wyobrażać mogła, żem zawsze jeszcze i piękna i młoda. Szczęście to jedynie tobiem winna; jakoż nigdy nie wychodzi mi to z pamięci, iż tylko twój szlachetny sposób myślenia przeszkodził mi, żem memu ojcu życia nie zatruła! Łaskawy ojciec mój, kocha cię jeszcze ciągle. Gdy okryte sławą twe imię obiło

się o nasze uszy, wiadomość ta równie mnie jak i ojca mego ucieszyła serdecznie; podziękowałam niebu za twą pomyślność, i z chlubą pomyśliłam w sercu, że może i ja w twéj sławie mam udział niejaki.«

(Dokończenie nastąpi.)

STEPY NOGAJSKIE.

Stepy te rozciągają się na dół po lewym brzegu morza Azowskiego, na sto wiorst w pozdłuż od rzéki Mołoczny do rzéki Berdy i na 50 wiorst szérokości; zajmują w sobie przeszło 360,000 dziesięcin przestrzeni.*) Cała ta rozległość usypana jest kurhanami czyli mogiłami i posągami, to jest bałwanami, co świadczy, że była niegdyś zamieszkana ludnym i dzielnym narodem. Ziemia urodzajna miejscami słona i pokryta solnémi jeziorami. Warstwa pruchnicy, czyli czarna ziemia zmiészana z wapnistémi i gliniastémi częściami składowémi, zajmuje arszyn (blizko 5 ćwierci łokcia polskiego) głębokości. Step w ogólności suchy, z lasów obnażony, i chociaż zdaje się być płaskim, wszelakoż porznięty niejakiémi wklęsłościami, którémi na wiosnę strumienie się toczą. W lecie nigdzie prawie nié ma zdrojów żywéj wody, trzeba ją ze studni dostawać. Od kwietnia do czerwca zielenieją się równiny soczystémi trawami i osypane kwieciem, osobliwie tulipanami i lilijami. Na brzegu morza rośnie słodka lukrecyja i chrzan nadzwyczajnéj wielkości, po kilka arszynów długości i lepszego smaku, niż pospolity; krzaki tylko gdzieś niegdzieś w nizkich dolinach widzieć można. Sadów bardzo mało, a lasów wcale nié masz. Mieszkańcy palą kiziakiem, to jest cegiełkami z gnoju zwiérzęcego. Nadbrzeża dosyć wzniosłe, wyjąwszy wklęsłych parowów w morze wpadających. Im daléj ku północy, tém wznioślejsze położenie stepu; tak, że na północnéj granicy, podnosi się do 200 stóp nad powierzchnią morza. Z rzék główna: Mołocznaja-woda; lecz i ta w lecie prawie całkiem wysycha; zaś Berda i Obitoczna, jeszcze mniéj w wodę obfite. Z źwiérząt znajdują się: wilki, lisy, susły, łasice, tchórze, jéże, zające, żórawie, dropie, gołębie, czaple, bociany, a po brzegach morza, łabędzie, pelikany i t. p. W rzéce Mołocznaja i drugich, znajdują się: karpie, szczupaki, czeczugi, okonie, żółwie i mnóstwo raków; z owadów i płazów: chrząszcze, motyle różnego rodzaju, węże, jaszczurki, szarańcza, a w lecie mnóstwo much drobnych.

Często wydarzają się w stepach pożary, jużto z nieostrożności, jużto z nadzwyczajnego gorąca lub też umyślnie podłożone, ażeby oczyścić pola z szkodliwych chwastów. Dla tego też zwyczajnie, gdy stara trawa uschła, a nowa jeszcze nie zeszła, podpalają stepy; płomień rozciąga się po suchych badylach za wiatrem i rozwija kłęby dymu po płaszczyźnie. W lecie podobne pożary są straszne i ze wszystkiém obnażają ziemię.

Klimat, uważając położenie stepu, dosyć ostry, z powodu, że kraina nie zasłoniona od północnych wiatrów. Ciepło dochodzi do 30°, mrozy bywają od 10 do 20. Śnieg, chociaż spadnie, długo nie poleży. W październiku mrozy, a w lutym bydło już się pasie. Nocy nader chłodne. Temperatura zmienia się po razy kilka na dzień i sprawia febry. Mieszkańców nogajskich Tatarów obojéj płci jest przeszło 35,000 dusz.

(Z Oczerkowa Rossyi 1840.) *D. Z.*

*) Dziesięciwa, *desiatyna*, miara płaszczyzny gruntu czyli morg rossyjski, zawierający w sobie 2,400 sążni kwadratowych, czyli półtora morga tutejszo-krajowego. Cały zatem step wynosiłby przeszło 540,000 morgów austryjackich. (Przyp. tłum.)

LIST MŁODÉJ MĘŻATKI DO PRZYJACIÓŁKI.

»Kochana przyjaciółko! Jeżeli chcesz mieć wierny wizerunek uosobionych nudów, niecierpliwości i sprzykrzenia, poszlij tylko do mnie malarza, aby mnie odmalował. Umrzeć mi przyjdzie, jeżeli wielki post długo potrwa! Dopiéro wczoraj mieliśmy popielec, a już nie małom się naziéwała! Godziny wloką się żółwim krokiem! Trapiące milczenie, które po żywym ruchu i wrzawie karnawałowéj nastało, zdaje się mi być ciszą grobową! O co za okropna zmiana! Chcąc nie chcąc muszę kłaść się w łóżko i spać przez noc całę, zupełnie *à la paysanne*. Nie zaprzeczam, że bale i niedospanie w nocy, cokolwiek mnie osłabiły; jednakże całą słabość moję przypisuję bardziéj nudom niż przesilonéj zabawie. Jeżeli tak długo potrwa, śmierć moja nieochybna! Co za czczość nieznośna! Ach przyjaciółko, nie uwierzysz jak ta smutna cisza na nerwy moje szkodliwie działa, jak bolesną nabawia mię migreną! Godziłoż się tak nierozsądnie układać kalendarze! Nie byłożbyto lepiej, by karnawał w jednym kraju się kończył a w drugim zaczynał, tak, aby młode mężatki, te tkliwe stworzenia, z jednego karnawału na drugi, jak jaskółki z jednéj strefy do drugiéj, przenosić się mogły! *Helas*, jakże zawiszczę jaskółkom! — Lecz pocóż mam cię nudzić tém narzekaniem, przejdźmy do rzeczy ważniejszych: mąż mój spostrzegł słabość moję, spostrzegł, że się niemiłosiernie nudzę, i wyobraź sobie na jaką ten człowiek nieszczęśliwą myśl przyszedł wyleczenia mnie z tej słabości. Oto uwziął się nie opuszczać mnie ani na chwilę! Chce mię nieustanną obecnością swoją wziąć na dyjetę homeopatyczną, chce mię ostudzać wedle metody Prysnica! Nie jestżeto oczywistem zabójstwem? Użal się nademną droga przyjaciółko, daj mi dowód twego przywiązania, ocal życie moje! Mąż mój ma najlepsze serce w świecie, ty jesteś uczoną, przemyślną, wymowną, posiadasz jego zaufanie; na tym kamieniu węgielnym spoczywa cała budowa nadziei mojéj. Zaklinam cię na zbawienie wszystkich młodych mężatek, przyjedź do nas, pomów z tym niewinnym tyranem, przywiedź go do poznania mych

cierpień, lecz przez Boga, nie daj poznaki, żeś moją powiernicą! Perswaduj mu, staraj się mu wyjaśnić, że to może nieprzyjemne mieć skutki, gdy żona zaraz po ślubie, ciągle i nieustannie widzi tylko przy sobie swego małżonka, którego piérwej częstokroć ledwie raz na dzień widywała; powiedz mu, że to mojemu zdrowiu równie szkodzi, jakby szkodziło nagłe przejście z gorącości do zimna; przekonaj go, że ta nagła, wymuszona zmiana dla tak słabéj konstytucyi, jak jest moja, nader niebezpieczna. Jeżeli już koniecznie codzień z sobą widywać się mamy, niechże mnie miłość bardzo zwolna, prawie nieznacznie do tego przyzwyczaja: dzisiaj np. kwadrans, jutro o kilka minut dłużéj; i tak w imię boskie może dzień za dniem o jednę dozys powiększać, aż z tego nakoniec urosną całe godziny. Widzisz, że ja postępuję sobie uprzejmie i rozsądnie, i nie żądam więcéj, jak tylko, co słuszność każe. Kończę tém zapewnieniem, że w tobie pokładam całą moję nadzieję. Ujmiéj się za mną kochana przyjaciółko, i staraj się uszczęśliwić twoję niebezpiecznie chorą i niezmiernie zmartwioną Klotyldę.«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 45. i obejmuje: 1) Słówko o wcześnéj siejbie koniczyny. 2) Sposób uczynienia nasion płodniejszémi. 3) Co jest korzystniéj czy woły karmne drogą zwyczajną pędzić, czy koleją żelazną do Wiédnia transportować? 4) O torfie w ogóle, a w szczególności o torfie zamarsztynowskim pode Lwowem, przez Teodora Torosiewicza. (Ciąg dalszy).

Z Wilna: P. Mikołaj Malinowski, zajmuje się pisaniem *Historyi panowania Jagiellończyków w Węgrzech;* tłumaczy przytém *Listy Załuskiego*, lub z nich miejsca ważniejsze wyciąga, i zamyśla wydać drukiem te materyjały, tak ważne do panowania Jana III. i Augusta II. — Jks. Lenartowicz napisał *Historyją Pijarów prowincyi litewskiéj.* Będzie to rozszerzeniem i uzupełnieniem znanego dzieła ks. Bielskiego: *Vitae Piaristarum.* — Siódmy zeszyt tak pożądanego *Obrazu biblijografii polskiéj* Adama Jochera prasę opuścił. Także tom drugi *Historyi Wilna* J. J. Kraszewskiego. Ten rzadką pracowitością i talentem obdarzony pisarz wyda wkrótce siódme z kolei *Szkiców obyczajowych* dzieło swoje: *Ostatnia z książąt Słuckich*, a jak sam w czwartym tomie swego *Athenaeum* donosi, ma pod piórem dwa nowe pisma: *Moja spowiedź* i *Litwa do unii lubelskiéj.* — Dalsze wydawanie *Wizerunków i roztrząsań naukowych* coś niepewném się staje. Szkoda byłoby gdyby upadło to szacowne a tak pożytecznie przez p. Ignacego Szydłowskiego redagowane pismo.

Oświetlenie teatru. Pan Karol Demuth, słynny fabrykant pająków, luster i lamp w Wiédniu, który już 27 teatrów oświetlenie z najpomyślniejszym skutkiem urządził, pracuje teraz nad wielkim pająkiem i innémi naczyniami do oświetlenia nowego teatru br. Skarbka we Lwowie.

Olbrzymi słownik. W Rzymie zaczęto wydawać zeszytami słownik wszystkich języków na całéj kuli ziemskiéj, wraz z wszystkiemi tychże narzeczami. Żałować należy, że nic podobnego przed 6000 laty nie przedsięwzięto; możeby ludzie przy stawianiu wieży babilońskiéj, łatwiéj się byli zrozumićć mogli!

Nowy dziennik. W Konstantynopolu ma wychodzić nowy dziennik w języku włoskim, pod nazwą: *Il Progresso Bizantino.*

Alabastrowe słupy przeznaczone do kościoła św. Pawła w Rzymie, które wice-król Egiptu Ojcu św. w darze ofiarował, już przywieziono do Malty.

Przepyszna wila. Na wzór niedawno w Pompei odkopanéj wili, rozkazał król bawarski wznieść takąż w *Aschaffenburgu*. W trzech latach będzie ukończoną. Tak co do budowy jak i upiększenia ma być wierną kopiją swego piérwotworu. Koszta obliczono na 500,000 złr.

Powóz Napoleona, który po bitwie pod Waterloo dostał się w ręce Anglików i odtąd był własnością pewnego Belgijczyka; kupili spekulanci dla zawieziania go na sprzedaż do Londynu. Urząd cłowy londyński ocenił wartość jego na 2,400 funt. szterlingów i żądał 60 funt. szterl. opłaty cła wchodowego; a że to się właścicielom tego powozu za wiele być zdawało, więc jeden z celników oświadczył się dać 2,800 funtów szterl. i opłacić cło; lecz właściciele w żaden sposób i na korzystniejszą późniéj cenę, przystać nie chcieli.

Krzywy nos. P. Dieffenbach w Berlinie, sławny okulista i orthopeda, zaniechawszy zézowate oczy, wziął się teraz do nosów. Przecinając chrząstkę pod skórą, prostuje on i reguluje krzywe nosy. Pewna żona widząc swego męża z prostym nosem wchodzącego do domu, z którego wyszedł z krzywym, nie chciała uwierzyć, aby to był jéj mąż, i nie po mału nad tém się zdziwiła, że tyloletnie, uboczne jéj usiłowania, tak się wyprostować dały.

Z dwiestu pięćdziesięciu sześciu papieżów, którzy zacząwszy od św. Piotra aż do panującego obecnie Papieża Grzegorza XVI. tron apostolski zajmowali, było cztérych Afrykanów, jeden Burgundczyk, jeden Kandyjota, dwóch Dalmatów, sześciu Niemców, piętnastu Francuzów, jeden z Galicyi hiszpańskiéj, pięciu Genueńczyków, siedmnastu Greków, jeden Anglik, jeden Lotaryńczyk, ośmiu Medyjolańczyków z dawnego księztwa medyjolańskiego, szesnastu Neapolitańczyków, jeden Holenderczyk, dwóch Piemontczyków, jeden Portugalczyk, 134 Rzymian z państwa papiezkiego, jeden Sabińczyk, dwóch Sardyńczyków, czterech Sycylijanów, sześciu Syryjczyków, czterech Hiszpanów, szesnastu Toskańczyków, siedmiu Wenecyjanów rodem z dawnej rzeczypospolitéj weneckiéj.— Przeciąg panowania każdego z wszystkich tych 256 papieżów trwał w przecięciu cokolwiek więcéj niż 7 lat i 2 miesięcy.

Maryja Moulin. Wkrótce po wzięciu miasta Moguncyi przez Prusaków, widziano w Frankforcie dziewczynę odkana w chędogie lecz wypłowiałe odzienie. Blada, wynędzniała, więziła w swéj piersi boleść, która widocznie szarpała jéj duszę; ani skarga, ani narzekanie nie rozwiązało jéj zsiniałych ust. Widziano ją przez dzień cały jakby wkutą w jedno miejsce; zmartwiała, nieruchoma nito posąg Nioby, łzawą topiła źrenicę w wychylający się z-dala gościniec. Cała jéj dusza wbiegła do oka, a wygasłe, w słup patrzące oczy, splotły się jednym punktem, z gościńcem, który w dali ginął. Mimo deszczu, mimo skwaru zawsze w jedno miejsce wrośnięta, zawsze wzrok ku jednéj wytężała stronie. Wtedy tylko, kiedy już zmrok opadał, przebiegał ruch po jéj obumarłych na poły członkach, poczém do swéj ubogiéj chatki kierowała mdłe, chwiejące się kroki; ale zaledwie dzień zabrzasnął, już na świętem dla niéj miejscu witała łzawem spojrzeniem wschodzące słońce. Na czynione jéj od przychodniów zapytania milczała, ani wargą nie ściągnąwszy; wtedy nawet, kiedy jéj głód dojmował, nie ozwała się ani słówkiem; tylko zeschłémi okruchami chleba odpędzała dojmujący głód od siebie.—Jakiś cudzoziemiec, oficer, poprzysiągł jéj wieczną miłość, przyrzekł, że ją za lat cztéry poślubi.

żądał od niéj, aby się udała do Frankfortu, i tam oczekiwała jego przybycia. Biedna Moulin wierzyła kłamliwej przysiędze obłudnego kochanka, wypatrzyła już za nim swoje piękne oczy, a kochanka ani widać ani widać! Jak wtęczę patrzy w tę stronę, z któréj kochanek ma zlecić w jéj ramiona, i wtenczas tylko odrywa wzrok, kiedy jaki oficer koło niej przemknie; wtedy martwym za nim powodzi wzrokiem tak długo, aż jéj nie zniknie z oczu. Dwoje dziewcząt wykryło przyczynę jéj obłąkania. Gdy jedna z nich zagadnęła nieszczęśliwą Moulin, odrzekła jéj obłąkana: »Czy jesteś ty narzeczoną? Ach, tylko narzeczona może mię pojąć i zrozumiéć!« Na twierdzącą odpowiedz dziewczyny, wykryła przed nią głębią swojéj duszy, opowiadała jéj o swojém blizkiem szczęściu, że kochanek wkrótce przybędzie, że łzawe jéj oczy pocałunkami osuszy, że ią do ślubnego powiedzie ołtarza i że dla tego stroi się w tę suknią, w któréj ją kochanek po raz piérwszy ujrzał, aby ją mógł z dała poznać, na skrzydłach miłości do niéj zlecić i w objęciu kochanki zawisnąć! Po niejakim czasie zagrzebawszy się w swojéj chatce, nie opuszczała jéj więcéj. Co nocy łkając płókała sukienkę i osuszała ją przy swojéj piersi! W téj sukience ujrzała po raz piérwszy swojego kochanka, on mawiał, że jej tak pięknie do twarzy w téj sukience. Już i sukienka popadała się w łachmany, ciało nagie, wyzierało z pod jéj zbutwiałych strzępów, a kochanka jak nie ma, tak nie ma! Wkrótce o nieszczęśliwéj Maryi Moulin i pamięć zaginęła! Prześliczny, tkliwy kwiatek wiosny, zatruł i zgubił robak obydny!

Przewoźnik lorda Byrona. Hrabina Blessington opowiada o przewoźniku lorda Byrona w Diodati następnjącą tkliwą anegdotę: »Maurycy«, mówi ona, »spomina jeszcze zawsze z największym zapałem o tym wielkim poecie, i lubi opowiadać jego dziwactwa. Utrzymuje on, że lord Byron nigdy nie wsiadł na łódź, aby nie miał pistoletów za pasem; co on, Maurycy, za niepotrzebny zwyczaj uważał. Podług niego był on bardzo milczącym i roztargnionym; Byron zatopiony w dumaniu przepędzał po kilka godzin na morzu, i często z największą szybkością wpisywał myśli swoje w książkę, którą zawsze przy sobie nosił. Postawa jego podług Maurycego była spaniała, a dumą (*ferta*) różnił się od wszystkich innych ludzi. Bawił po całych nocach na morzu, i do podobnych wycieczek obierał zwykle czas najburzliwszy. »Dopokąd lord w Diodati przebywał« mówi tenże przewoźnik, »nie było ani jednego posępnego wieczora, w którymby po mnie nie posłał; a im burzliwszy był wiatr, im bardziéj morze igrało, tém pogodniejszym był jego umysł. Nieraz po ośmnaście godzin ciągiem bawiliśmy na wodzie. Lord Byron był pływacz doskonały, przeto się nigdy burzy nie obawiał. Atoli jakże nam wszystkim żal było biédnego Shelley! Ten był całkiem innéj natury człowiek; grzeczny, szlachetny, życzliwy i uprzejmy; widać mu było z oczu, że kochał niebo nad swoją głową, i wodę pod sobą, na któréj się łódź jego kołysała. Nie uraził on nawet drobnéj muszki, co większa, ratował i chronił wszystko, co tylko w około niego żyło; tak tkliwego i łagodnego był charakteru. Ten świat nie godzien był tego człowieka, był on dla niego za nadto dobry, a przecież ziomkowie jego, których w méj łodzi przewoziłem, nie najlepiej o nim mówili. Ale nie dokazali tego, bym im uwierzył; bo my prości ludzie zwykliśmy sądzić podług tego, co widzimy, a nie podług tego, co drudzy mówią.« Taki wyrok wydał prosty żeglarz o dwóch najznakomitszych poetach angielskich. Pierwszego z nich zdawał się podziwiać, ale niezawodnie do drugiego był wielce przywiązany. Prostak ten skréślił w kilku słowach tak dokładnie charaktery tych obudwóch jenijalnych poetów, jak krytyk najbieglejszy.«

Scena przed sądem policyi w Paryżu. Krawiec — jestto ważna osoba! Jestto zmora dusząca każdego młodzika, który się modnie ubierać lubi, a odpowiednich dochodow nie ma; jestto duch trapiący, który się w świecie poezyjnym z porachunkiem w ręku a grubijaństwem w ustach pojawia! — — Krawiec staje tedy przed sądem i żąda 120 franków od pana St. Marianne, jednego z najwytworniejszych modnisiów, którzy w kawiarni Tortoniegn cygara palą. — Modniś: »Ten jegomość zapozwał mnie tu z powodu porachunku; postąpił sobie bardzo po grubijańsku, bo czemuż mi do domu go nie przyniósł?« — Krawiec: »A niech mnie Bóg od tego zachowa, toćbym przez sześć miesięcy ani igłą nie ruszył!« — Prezydent: »Jakże to mam rozumiéć?« — Krawiec: »Że są tysiączne sposoby pozbycia się krawca, gdy mu kto dłużny. Jedni każą mu powiedziéć, że ich w domu nie ma, że na wieś wyjechali...« — Modniś: »To są głupcy, ja nigdy na wieś nie wyjeżdzam, nawet wtedy, gdy mnie poezyjne uczucia na świeże powietrze wzywają.« — Krawiec: »Inni zrzucają krawca ze wschodów...« — Modniś: »Sposób ten jest bardzo wygodny, przyznaję (śmiech), ale ma swoje nieprzyjemności, gdyż przezto narażamy się swojemu sąsiadowi, gdy na jego terytoryjum natrętne źwierzę wyrzucamy.« — Krawiec: »Muszę wyznać, że p. St. Marianne daleko skuteczniejszych środków używa!« — Modniś: »Co o to wcale się nie gniewam, że mi sprawiedliwość oddają.« — Krawiec: »To prawda, że p. St. Marianne nigdy nie każe mi powiedziéć, że go w domu nie ma.« — Modniś: »Ja zawsze daję łatwy przystęp każdemu.« — Krawiec: »Nie każe on swoim bliźnim ze wschodów raczkiem powracać.« — Modniś: »Dopuszczać się gwałtu na znikomych istotach, jest przeciw memu zwyczajowi.« — Krawiec: »Pomimo to wszystko, przecież nie mam chęci zwidzać progów jego, gdyż tam okropnie sparzyć się można!« — Prezydent: »Jakto?« — Krawiec: »O! jestto szkaradność niesłychana! O, jestto próba przez ogień wieków barbarzyńskich! Wyobraz sobie mości prezydencie, gdy do niego jaki wierzyciel przyjdzie, natychmiast donosi mu o tem jego kochanka, która zawsze w przysionku na straży stoi.« — Prezydent: »Cóż on czyni na ten czas?« — Krawiec: »Oto ma już na pogotowiu rozpaloną klamkę, którą wstawia w dziurkę ode drzwi miasto zimnéj, chrześcijańskiej klamki. Skoro ją który z wierzycieli w dobréj wierze pomaca, zaraz podskoczy i na całe gardło wrzaśnie, zostawiwszy kawał skóry z ręki na rozpalonem żelazie! (Długo-trwały śmiech). Tym sposobem ten jegomość i mnie takiego psikusa wypłatał; ale upewniam, że mnie u siebie już więcej drzwiami wchodzącego nie zobaczy.« (Śmiech). Modnisia, który rozpaloném żelazem płacił swych wierzycieli, skazał prezydent na zapłacenie rachunku. Modniś do kłaniającego się prezydentowi krawca: »Czekam więc jutro wpana u siebie, abym wyliczył mu co się należy.« — Krawiec: »Przyjdę, ale niechże już zastanę drzwi otworem stojące, to sobie naprzód wymawiam; bo kto raz się na gorącém sparzy, ten i na zimne dmucha!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krallera.
Drukiem Piotra Pillera.